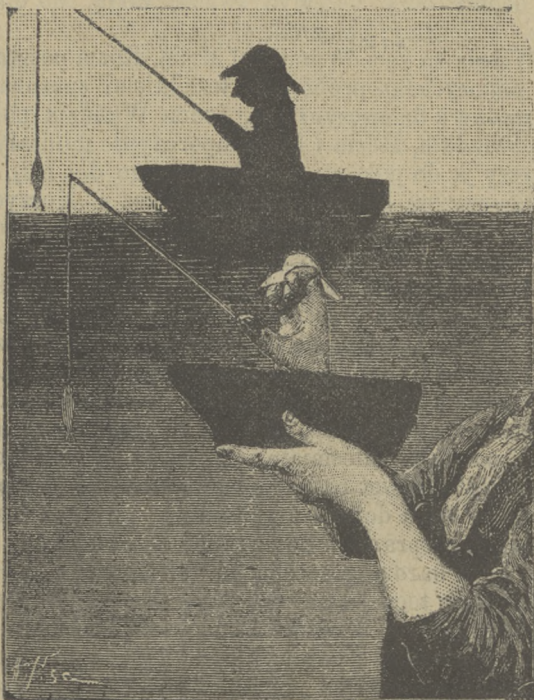


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



ZABAWA W CIENIE.

Któż nie zna tój zabawy tak pospolitej, w której dwie ręce jedynie, układane rozmaitemi sposobami, z dodatkiem drobnych jakichś przedmiotów, mogą wywołać na ścianie

ucieszne cienie, to zwierzątek, to sprzętów różnych, nawet i ludzkich postaci. Dawniej już kiedyś podawaliśmy w Piśmie naszym wzory takich cieniów, teraz napotkaliśmy parę nowych i niezwykłych, jeden z nich rysunek nasz przedstawia. Łatwo rozpoznać, że dodatki składają się z kawałeczków papieru, wyciętych w kształcie stosownym, pręcików, deseczek, nitki. Kierując się według wzoru, łatwo bardzo naśladować owego rybaka, siedzącego na łódce; powinien on poruszać to głową, to wędką, i różne figle wyprawiać.

Trzeba jednak dodać, że przedstawienie podobnych cieniów zręcznie, ażeby sprawiały wrażenie zabawne, nie jest tak bardzo łatwe, jak się na pozór wydaje. Kto chce nabyć wprawy, powinien przedewszystkiem palce u obu rąk do ruchów niezależnych nazwyczajając, trzymając kolejno jedno z nich nieruchomo, a drugie szybko poruszając. Są kuglarze, którzy tak doskonale wykonywają sztuczki podobne, że je pokazują za pieniądze i pobudzają nieraz widzów do szalonego śmiechu.

MŁODA NAUCZYCIELKA.

(Dalszy ciąg).

III.

Musimy tu wyjaśnić czytelnikom, co miała na myśli p. Korzycka. Panna Duval Francuzka pozostawała przy

tych dzieciach od lat pięciu, była to raczej bona niż nauczycielka, ale póki syn p. Korzyckiej nie poszedł do szkół, miał nauczyciela i ten starszym panienkom dawał także lekcje. Panna Duval rozmawiała z niemi po francuzku, uczyła robotek ręcznych i towarzyszyła na przechadzki. Wesoła i bardzo pobłażliwa, zjednała sobie przywiązanie dzieci, p. Korzycka była z nięj zadowolona, póki szło tylko o dopilnowanie, żeby sobie żadna z dziewczynek noska nie stłukła; lecz nadeszła pora poważniejszej nauki, na ciężkie czasy trudno było zostawić Francuzkę przy nauczycielce, zresztą słusznie obawiała się matka jęj wpływu na dzieci, rozstanie stało się nieuniknionem. I wówczas okazało się, że Francuzka nie była osobą podnioslejszych uczuć. Nie chciało jęj się rzucać dobrego miejsca, próbowała więc dzieci zbuntować przeciw matce, i wzbudzić w nich niechęć do nowęj i nieznanęj nauczycielki. Różia, najstarsza, wcale jednak nie najrozsądniejsza, ośmieliła się matce powiedzieć, że ich zapewne nie kocha, skoro im odbiera ukochaną pannę Duval i chce je oddać w ręce obcęj jakięjs kobiety. Misia za przykładem siostry rozplakała się wołając, że ona nie chce innęj nauczycielki, nie chce się rozstać z p. Duval, a ta pani, co przyjedzie z Warszawy, będzie pewnie zła i niegodziwa. Jedna Wańdzia milczała i nie należała do spisku.

Matka musiała przemówić surowo do dzieci, rozprawiła się także na osobności z panną Duval i przyspieszyła jęj wyjazd. Ale Francuzka miała czas zasiać w sercach dziewczynek uczucia niechęci i nieufności dla warszawskieję nauczycielki. Żadna wprawdzie nie śmiała się z tem głośno odzywać, lecz w głębi duszy Różia szczególnie do tę niewinnęj i nieznanęj sobie całkiem osoby żal miała o to, że je rozłączyła z panną Duval. Biednęj Kasi ani się śniło, jakie dziwne okoliczności przeciw nięj się sprzysięgły i jakie przyczyny złożyły się na to, aby odwrócić od nięj serca dzieci, które ona już zawczasu kochała i pragnęła uważać za młodsze siostrzyczki.

Pani Korzycka przeczytała po raz drugi przy wszystkich córeczkach list przełożonęj pensyi, nie sprawiło to jednak na nich takiego wrażenia, jakiego się spodziewać było można. Różia nieznacznie wzruszyła ramionami i mruknęła: — Katarzyna! Cóż za brzydkie imię. Tak się nazywa, jak stara kucharka księdzka proboszcza-

— Kaśka! okropne imię — przywótórzyła mała Misia, we wszystkim naśladowująca siostrę.

— Spodziewam się, moje dzieci — rzekła poważnie matka — że nie zechcecie mi sprawić przykrości i przyjmiecie pannę Katarzynę Olszycką z uszanowaniem i grzecznością taką, abym nie potrzebowała się mieszać do tego. Żlebyście bardzo na tem wyszły, gdybyście nie umiały ocenić osoby, posiadającęj tak wielkie zalety. Szczerze wam mówię, że nie spodziewałam się znaleźć tak doskonałęj nauczycielki za trzysta rubli. Gdyby *x* was była niezadowolona i nie chciała zajmować się wami, niełatwo by się pewnie znalazła druga na jęj miejsce z tylu talentami; a ja drożęj płacić nie jestem w stanie.

— Ach, mamó! dobrze by zrobiła, żeby nas nie chciała, bo i my jęj nie chcemy — ozwała się Misia.

— Cicho, ani słowa więcęj! — rzekła matka surowo i na tem się rozmowa urwała.

III.

— Dzieci, oto jest panna Katarzyna Olszycka, nauczycielka wasza; przedstawiam pani moje córki, najstarsza ma imię Różia, druga Wańdzia, najmłodsza Michasia; mam nadzieję, serdecznie pragnę, aby pani była z nich zadowolona.

Tak mówiła pani Korzycka, gdy na jęj wezwanie dziewczynek, uwiadomione już o przybyciu nowęj nauczycielki, weszły do salonu ją przywitać. Pannę Katarzynę powstała z kanapki, na któréj ją przed chwilą posadzono, uściśkała trzy dziewczynki po kolei ze szczerem uczuciem i odpowiedziała z uśmiechem, miłym i łagodnym głosem:

— Pokochamy się z pewnością niezadługo, ja was już teraz kocham, moje panienki, będę waszą przyjaciółką, nie tylko nauczycielką.

Dziewczynki dygnęły, żadna się nie odezwała. P. Katarzyna przyciągnęła do siebie Misię, chciała z nią najprędzej przyjaźń zawrzeć, była pewna, że to przyjdzie z największą łatwością; na pensyi malcy z pierwszęj i wstępnęj klasy spadały za nią.

— Musisz mieć swój ogródek, kochanko — rzekła — pokażesz mi go dziś jeszcze, bo ja nadzwyczaj lubię widzieć ogród, kwiaty.

— To bardzo szczęśliwie — odrzekła p. Korzycka, zstępując córeczkę, która stała milcząca, z oczami spuszczone, nadasana prawie — jeżeli pani wieś lubi, to się pewno nie znudzi z nami.

— O, nie; zresztą moje trzy kochane towarzyszki nie dadzą mi się znudzić, nieprawdaz? — i zwróciła się do dwóch starszych, próbując z niemi zawiązać rozmowę, która z małym jakoś się nie udawała — najprędzej powiecie mi, co lubicie: jakie zajęcia, zabawy, bo mieszkając razem, w tak bliskich stosunkach, trzeba znać przedewszystkiem upodobania towarzyszy.

— Wańdzia lubi nad wszystko czytanie — mówiła znów matka — troszkę nawet do zbytku to posuwa, bo ciągle czyta, nawet w porze, gdy należałoby pobiegać choćby dla zdrowia po ogrodzie.

— Doprawdy? — zawołała nauczycielka z radością, widać doczną; takie upodobania przyszłych uczennic dawały o nich jaknajlepsze wyobrażenie — a ty, Róziu, co lubisz najlepiej.

Różia zacisnęła usta, czuła jednak, że niepodobna było tak wyraźne zapytanie nic nie odpowiedzieć, nie chcąc uchodzić za głupią gaskę; bąknęła więc po chwili przez zęby:

— Ja, proszę pani, nic nie lubię tak bardzo.

— Nic? no, już ja to z czasem sama wysledzę — a w duszy pomyślała sobie — nieśmiałe muszą być bardzo, na wieś mało widują obcych osób; ale ja je ośmielę niezadługo.

— Może pani zechce rozejrzeć się w swoim pokoju, wypocząć troszkę, rozpakować coś z rzeczy — odezwała się uprzejmie p. Korzycka — dzieci, zaprowadźcie panią. Obiad będzie za pół godziny.

— O, dziękuję pani — odrzekła p. Katarzyna — miałabym ochotę oczy przemyc świeżą wodą, bo taki kurz na drodze. Chodźmy, panienki.

Wzięła za ręce Wańdzię i Misię, Różia poszła naprzód: młoda nauczycielka próbowała wszelkimi sposobami zawiązać rozmowę z dziewczynkami, jedna Wańdzia półsłówkami jęj odpowiadała, Różia i Misia uporczywie milczały. Odprowadziwszy ją do pokoju, przeznaczonego dla nięj, gdzie zastały dziewczynę służącą, zapewne przez p. Korzycką przysłaną na rozkazy p. Katarzyny, wszystkie trzy wysunęły się z pośpiechem. Dziewczyna zapytała uprzejmie, czy pani czego nie potrzebuje, a na żądanie podawszy miednicę z wodą i ręcznik, potem przesunawszy kuferek, który p. Katarzyna otworzyła, kręciła się po pokoju, pokazując szafkę i komodę na rzeczy, pytając o to lub owo. Młoda nauczycielka miała ogromną ochotę zapytać tęj dziewczyny, która dosyć roztropnie i przyjemnie wyglądała, czy dzieci są zawsze i z każdym takie nieśmiałe. Troszkę ją postępowanie ich zaniepokoiło i nawet przykrość jęj sprawiło. Ale p. Katarzyna zanadto była dobrze wychowana, aby miała ze sługami rozmawiać o sprawach domowych, a zwłaszcza zapytywać o coś. Była bardzo grzeczna dla tęj służącęj, mówiła z nią, nie uważając tego wcale za ujmę dla siebie, ale nie wspomniała ani jednym słówkiem o pani lub dzieciach.

Przy obiedzie dziewczynki ciągle były milczące, lub półsłówkami odpowiadały, pomimo spojrzeń znaczących matki; spojrzenia te spostrzegła p. Katarzyna i bardziej jeszcze się zdziwiła. Wreszcie Wańdzia zaczęła mówić trochę więcęj o książkach, które czytała, uradowana tem p. Katarzyna rozmawiać z nią zaczęła wyłącznie, nie siląc się już na przełamanie uporczywego milczenia dwóch innych.

Zeszło jako tako do wieczora, gdy upał ustał, p. Korzycka, która dnia tego nie oddalała się z domu do zwykłych zajęć, ażeby nie odstępować p. Katarzynie, oprowadzała ją sama po ogrodzie, tłómaczyła wszystko i opowiadała; młoda

dziewczyna, naprawdę lubiąca wieś niezmiernie, tak była tem wszystkim zajęta i zachwycona, że zapomniała o dziwnem postępowaniu dzieci i swoim niepokoju. Ucieszyła się także, gdy przekonała się wieczorem, że będzie miała pokoik zupełnie osobny dla siebie; często wymagają od nauczycielki, żeby nocowała razem z dziećmi i ona była na to przygotowana, wołała jednak mieć kącik własny. Zaraz też wieczorem, powiedziawszy dobranoc dzieciom, które sypiały w sąsiednim pokoju, pomimo zmęczenia, rozłożyła na stolyczku przybory do pisania i rozpoczęła list do matki. Przyszła jej często, jaknajczęściej donosić o sobie, zaraz też nieodkładając napisała, że Lipówka jest przesliczna, piękniejsza, niż sobie wyobrażała, ogród pyszny, wszędzie, jak w raj, że ma kącik swój własny, pokoiczek najmilszy w świecie, z oknem wychodzącym na ogród; doniosła także i o p. Korzyckiej, opowiadała, jak uprzejmie, gościnnie była przyjęta, oprowadzana wszędzie; o dzieciach tylko wspomniała króciutko, bo nie wiedziała, co o nich pisać i myśleć, pozostawiała to do dalszych spostrzeżeń.

Nazajutrz rozpoczęły się lekcye, zrazu matka chciała ten pierwszy dzień pozostawić dzieciom, aby się z nauczycielką zapoznały lepiej, lecz widząc dziwactwa Rózi, naśladowane jak zwykle, przez Misię, rozmyśliła się inaczej i wystraszwawszy porządnie Rózię szczególnie, prosiła p. Katarzynę, żeby zaraz wzięła się do egzaminu i nauki, ponieważ dzieci dużo czasu straciły od wyjazdu nauczyciela.

Przy egzaminie dziwactwa ustały, dziewczątka wszystkie były zdolne i pilne, nauczyciel ich brata doskonale naukę prowadził, z przyjemnością też spostrzegła p. Katarzyna, że nie będzie miała wiele kłopotu z uczennicami. Tegoż dnia jeszcze nakreśliła w zarysach plan i rozkład nauk. Przekonała się, że Wańdzia prawie tak daleko była posunięta, jak Rózia, więc większą część przedmiotów można im będzie razem wykładać, co niezmiernie ułatwiało jej pracę, z Misią jednak trzeba było osobno wszystko prowadzić, bo ta tylko z panną Duval dotąd się uczyła.

(d. c. n.)

DO SPADAJĄCEJ GWIAZDY.

Dokąd dążysz, srebrna gwiazdo,
I czym jesteś, powiedz mi?
Czemu rzucasz pyszne gniazdo,
W którym milion siostr twych łśni?
Powiedz, czyś ty marzeń chwilką,
Pchniętą losem w wiry świata,
Niepochwytną, która tylko
Błyśnie, olśni i ulata?
Powiedz, czyś natchnieniem czystem,
Nieskalanem, idealnem,
Które w kole promienistem
Świateł krąży? Czyś widzialnym,
Ale jednak nieujętem
Natchnień mistrzów celem świętym?

Albo może chcesz na nowe
Tory zwrócić szybki bieg,
Rzucić niebo lazururowe
I na inny dobić brzeg!
Powiedz! Czy ty, srebrny pyle,
Słońca szukasz wśród przestrzeni,
Które cię choć krótką chwilę
Samą jedną opromieni?
Powiedz mi! Czyś ty dziecięcim
Myśli twórczej, w chaos świata
Pchniętem przed jego poczęciem?

Byle wietrzyk tobą miota,
Byle światło ciebie łąci,
Dążysz ślepo, bez pamięci,

Drugim sobą drogę świecisz,
Chociaż nie wiesz, gdzie dociecisz.

Spojrzyj, gwiazdo spadająca!
I nas siła twórcza strąca
Z wyżyn szczęścia, z wyżyn marzeń,
W ten świat cierpień, walk i skażeń!
I my mamy pragnień morze,
I my dążym gdzieś w obłoki,
Lecz... stawiamy błędne kroki
I trafiamy na bezdroże.
Każdy chciałby sam dla siebie
Mieć to słońce, które świeci,
I tę gwiazdę, co na niebie
Błyśnie, olśni i uleci.
Każdy szuka, walczy wiele,
W kole jednych marzeń krąży,
Lecz sam nie wie, dokąd dąży,
Idealne goniąc cele.

Gabryela Jasińska.

FALE MORSKIE.

Nieraz już zamysłane o użytkowaniu potężnej siły fal morskich, bo też rzeczywiście, gdyby można było pochwytać tę siłę za pośrednictwem jakich maszyn, dorównałaby pewnie parze, a miałyby tę wyższość nad nią, że nic nie kosztuje. Na każdym wybrzeżu morskiem ruch wody nigdy nie ustaje, bywa silniejszy lub słabszy, wedle okoliczności, uderzenie bałwanów o skały z czasem kruszy je, rozbija, obala, ztąd to pochodzi, że brzegi oceanu tak zawsze są pozębione i poszarpane.

Rysunek przedstawia nadbrzeżne miasteczko Bognor w Anglii w chwili, gdy ogromna fala wodna podnosi się, i sięga ścian domów, wysuniętych daleko; wysokość fal ocenić łatwo w porównaniu do budynków, jeden bałwan ogromny dotyka dachu kilku piętrowego domu.

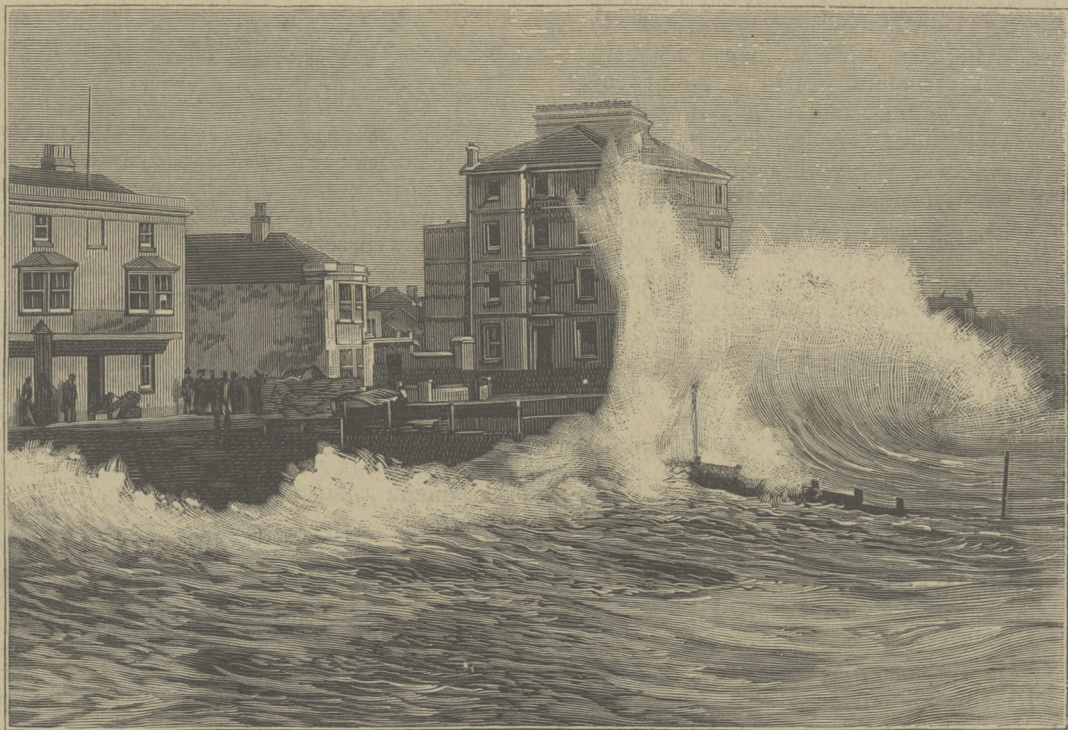
List z Warszawy.

Niejedna z was, kochane przyjaciółeczki i towarzyszki, narzeka już pewnie na mnie, o lenistwo pomawia niewinną Gołąbkę pocztową. Prosiła, żebyście pisały, obiecała odpowiadać, tymczasem wy ją zasypujecie liścikami, spory ich stos leży oto na stoliku, a odpowiedzi jak niema, tak niema. Wygląda to doprawdy na niewdzięczność i na czarną niewdzięczność. Ale gdybyście wy mogły zajrzeć do naszej redakcyi, przekonałybyście się, że to ustawiczne narzekanie na brak miejsca nie jest wcale przesadą. Wszak i teraz w tece redakcyjnej leży aż trzy korespondencye ze stron różnych, wszystkie zajmujące, jedną tylko wydrukowano, korespondencyą z Krynicy Poziomki, inne muszą czekać, bo trudnoż zapychać Pismo samemi listami. Jabym już i innym pierwszeństwa ustąpiła, przecież panienki te za gości powinny być uważane w naszej redakcyi, gdzie ja niejako domową jestem; lecz sama Kochana pani orzekła, że list mój musi być wcześniej umieszczony, gdyż wszyscy niecierpliwie wyglądają, nietyle może listu, ile zadania konkursowego.

Przebaczcie więc Gołąbce, jeżeli która miała jej za złe przedłużone milczenie. Teraz za to, jak się żwawo zawinę, na wszystkie kochane odezwy wasze odpowiem, chociaż znów muszę być zwięzłą, o ile możliwości, bo list zbyt długi także z powodu owego nieszczęsnego braku miejsca nie wejdzie. A najpierw tobie przecież odpowiedzieć muszę na pytanie, czekające dotąd tej odpowiedzi w „Wieczorach”, Poziomko miła. Ach! jakiś smakowity wybrałaś sobie pseudonym, mimowoli ślinka do ust idzie, mówiąc do ciebie. Otóż chcia-

łabyś wiedzieć, słodka Poziomeczko, czy to „nasza Wieczorowa Ukrainka” paradowała w tem przebraniu, zwracajacem na siebie wszystkie oczy na deptaku w Krynicy. Udałam się po wyjaśnienie do Kochanej pani, bo odkiedy ja nastąpiłam w redakcyi, żadna Ukrainka nie pisuje do nas. Dowiedziałam się tylko tyle: parę lat temu jeszcze pewna panienska zupełnie już dorosła pisywała pod tym pseudonymem powiastki i opowiadania dla młodziej dziatwy, teraz jednak umilkła i chyba Pisemka naszego nie czytuje, bo ani słówkiem się nie odzywa. Kochana pani utrzymuje, że to nie ona być musiała, ta „nasza” Ukrainka nie lubiłaby tak się odróżniać strojem niezwykłym, choćby i ładnym, ażeby takie zbiegowisko ludzi ściągnąć swoim widokiem. Powiada Kochana pani, że osoby rozumne nie mają w tem upodobania i starają się tak ubierać, aby nikt oczu nie wytrzeszczał na

zumieć. Jeżeli, dajmy na to, młodziutka panienska, starsza siostrzyczka młodszego jeszcze rodzeństwa, uczy braciszków i siostrzyczki, któż jej to może mieć za złe? Śmiesznieby jednak było, gdyby taż sama panienska, zaledwie z dzieciństwa wyrosła, pragnęła zająć miejsce nauczycielki publicznej. Nie dostałaby go bez dyplomu, rozumie się, lecz samo żądanie tak niewłaściwego stanowiska byłoby śmieszniejszą pychą i zarozumiałością. Toż samo jest z pisaniem do druku. Jeżeli młode dziewczątko, takie nawet, które jeszcze nauk nie ukończyło, napisze zgrabnie powiastkę dla dziatwy, to tak prawie wygląda, jakgdyby opowiadało ją młodszemu rodzeństwu. Wraz z tem rodzeństwem, mogłyby słuchać opowiadania i obce dzieci, cóż w tem złego? Dlatego to, jeżeli która ze starszych czytelniczek „Wieczorów” ułoży i napisze zabawne i pouczające opowiadanie, Kochana



Fale morskie.

nie. Zdaje mi się, że i twoja mama, Poziomeczko, była tegoż samego zdania.

Przechodzę teraz z kolei do twego listu, Wiochno; (ponieważ inna Wiochna pisywać przestała, więc możesz być Wiochną bez dodatków, czy zgoda?) Nie do mnie wprawdzie pisałaś, tylko do Kochanej pani i do Sarenki z nad Moroczku, lecz twój liścik, nadzwyczaj długi, nie mógł być drukowany, a Kochana pani nie odpowiedziała obszerniej dla braku miejsca w „Skrzynce”, na mnie więc ten obowiązek włożyła. Najniesłuszniej, Wiochno droga, wzięłaś za przymówkę do siebie to, co ja do Sarenki z nad Moroczku pisałam. Potępiając bowiem ryczałtem wszystkie młodziutkie pisarki, takie, jak ty, potępiałabym przede wszystkim samą siebie, bo podobno niema pomiędzy nami różnicy wieku, ja także w tym roku dopiero na dorosłą pannę się wykierowałam. A któż mnie do pisania zachęcił? Taż sama Kochana pani, która przez usta moje tak gorąco chwaliła Sarenkę za to, że się z tem nie śpieszy.

Bo widzisz, kochana Wiochno, trzeba się nam poro-

pani, pragnąca każdemu przyjemność sprawić, poprawia błędy gramatyki i pisowni, dodaje przecinki i kropki, a potem tak wporządzoną powiastkę drukuje w „Wieczorach”. Wcale jednak za tem nie idzie, aby taka osóбка miała prawo uważać się zaraz już za autorkę. Autorka jest także w swoim rodzaju nauczycielką publiczną, do tego trzeba mieć dużo nauki, rozumu, doświadczenia, powagi, a to wszystko dać może tylko czas, wiek dojrzałszy, dłuższe obcowanie z ludźmi, dokładna znajomość świata.

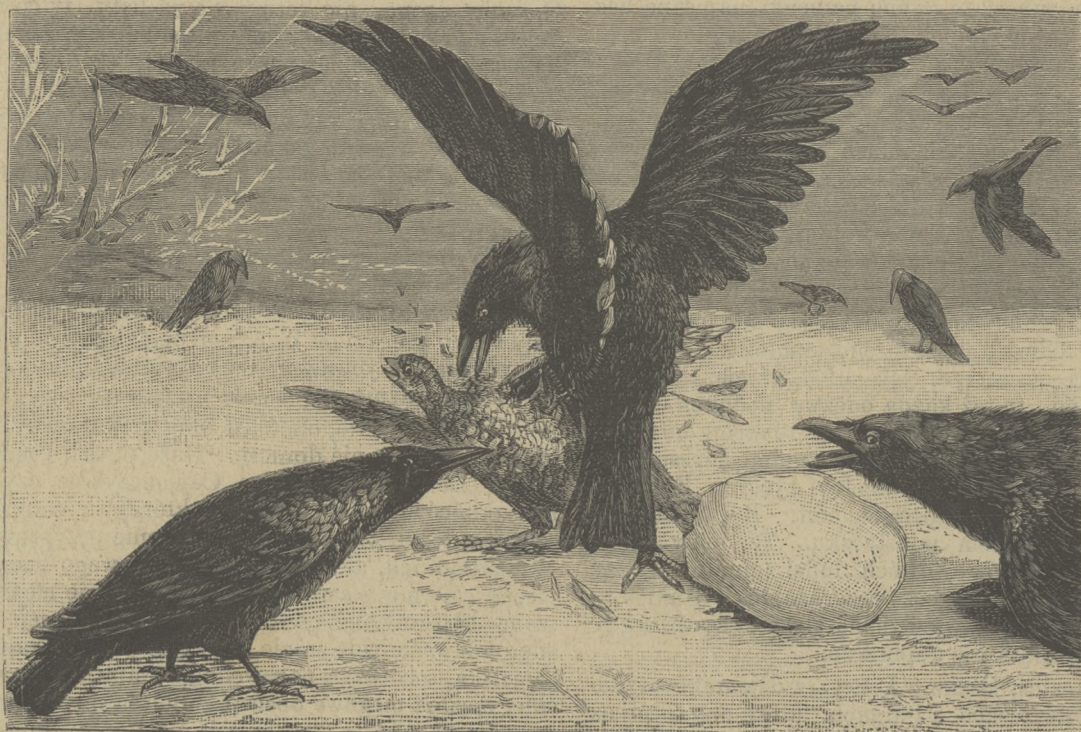
Powiedzże, Wiochno miła, uchylbiać ci przecież nie chcę, ale przynaj sama, czyż ja, i ty, i inne do nas podobne niedorośle pisareczki, którym się powiodło to i owo sklecić o tyle gładko i zręcznie, że się dało po poprawieniu wydrukować, możemy rościć prawo do takiego poważnego stanowiska w świecie? Dzięki Bogu nigdy podobna niedorzeczność w głowie mojej nie powstała. Piszę, ale z takim uczuciem, jakgdybym do przyjaciółek naprawdę przemawiała, gawędzę z wami, powtarzam po większej części słowa Kochanej pani i innych starszych osób, do składu redakcyi na-

leżących, sama jednak nie występuje w charakterze profesorki, byłby to szczyt śmieszności. Kiedyś, jak będę znacznie starsza, nie ukrywam się z tem wcale, pragnęłabym autorką zostać, ale dziś tego szczytnego miana nie przybieram.

Jestem pewna, kochana Wiochno, że i ty myślisz tak samo i chociaż uprawiasz wyższy nieco dział literacki, bo pisujesz powiastki, gdy ja na korespondencyach i łamigłówkach poprzestaję, nie przybierasz nazwy autorki. Przyznam ci się szczerze, gdy napatrzę się w redakcyi na te stopy rękopisów starszych i młodszych autoreczek, bo często i młodsze od nas, 12, 13 letnie chwytają pióro i utwory swoje do druku podają, odpada mię niekiedy ochota do pisania. Przynajmniej staram się, aby moje bazgroty nie były podobne do tego. Wyobraź sobie, pisane to niedbale, nieporządnie,

w redakcyi naszej zamyślano o tem, aby raz wyjaśnić wszelkie nieporozumienia z tego względu. Piszcie więc, jeśli macie ochotę do pisania, z tego w tem nic niema, tylko pamiętajcie, że wielcy pisarze, poeci, artyści, rzadko kiedy wychodzili z cudownych dzieci, popisujących się przedwcześnie nadzwyczajnymi zdolnościami. O tych najczęściej głucho na świecie, gdy dorosną, a wiecież dlaczego? Kochana pani powiada, że najpierw wysilenie niewłaściwe, zbyt wczesne, osłabia i zabija często talent prawdziwy, lecz zgubniej jeszcze działa w takim razie pycha i zarozumiałość. Jeżeli ktoś sobie powie, że ślicznie, doskonale pisze, przestaje zazwyczaj pracować nad sobą, kształcić się i rozwijać, a bez pracy największy talent na nic się nie przyda.

Jaskółka z nad Sekwany zawsze ciekawe rzeczy donosi. Teraz np. opowiada, że w szkole, w której się uczą jej bracia,



Kuropatwa uwięziona.

pomazane, myłek bez liku, a już co do przestankowania, żadna z tych autorek nic sobie z niego nie robi. Widzi przecież w druku, że okresy większe rozpoczynają się od początku wiersza, że rozmowy porządnie są podzielone pauzami, zdania przecinkami lub średnikami. Ale gdzietam, co je to ma obchodzić, te wielkie autorki, one sobie smarują wszystko jednym ciągiem; gdyby się to w taki sposób wydrukowało, możnaby się udławić, czytając, a jakiejby cierpliwości trzeba, aby dojść w tem sensu. Litość mnie nieraz bierze jak biedna nasza Kochana pani zacznie mozolnie odczytywać te bazgroty, niby hieroglify, lub kryptografią, dodawać znaki przestankowe, oddzielać zdania, rozmowy, ład zaprowadzać w tym chaosie, bo czy to nie szkoda oczu? Ona jednak ma tyle cierpliwości, że odczytuje wszystko, a jeżeli znajdzie coś zajmującego, poprawi, przyprowadzi do porządku i da do druku. Pięknieby to wyglądało, żeby się wydrukowało w takim stanie, w jakim było przysłane!

Rozpisałam się okropnie, a tu jeszcze cały stos liścików leży przedemną, lecz był to przedmiot ważny i oddawna

uczniowie przy końcu roku szkolnego przedstawili śliczny obrazek dramatyczny, wymyślnie dla nich pisany przez panią Duchcińską. Tytuł „Wyjazd na wakacje”. Dwoch uczniów wyjeżdża do kraju rodzinnego, cieszą się tą podróżą, inni mniej szczęśliwi muszą poprzestać na opisach i postanawiają pilnie czytać najznakomitsze utwory, które ich myślą przynajmniej do tych stron przeniosą. Brat Jaskółki, Ponury Rozbójnik morski, występował także w tym obrazku. Rozbójnik ten, (nie mogę go sobie wyobrazić ponurym) wyświadczył mi zaszczyt niemały listem swoim. Zwiedzał on przygotowania do wystawy, mającej się odbyć na przyszłą wiosnę w Paryżu. Będą tam ciekawe rzeczy do widzenia i zawczasu zanoszę prośbę do Jaskółeczki i Rozbójnika, aby nam tę wystawę opisali. Zazdroszczę ci, Jaskółeczko, że masz sposobność uczyć się po grecku; bo słusznie mówisz: jeżeli tyłu chłopców uczy się tego języka, czemużby kobiety miały być od tego wyłączone? Donieś mi, jak zaczniesz czytać Homera w oryginalne.

Brzydotka z nad Tamizy zarzuca mi, że nie czytuję

uwaznie jej listów; ale mylisz się, kochana Brzydotko, wiem wszystko o twoich ustawicznych podróżyach, w których „Wieczory” goniły za tobą po całej Europie. Wszyscyśmy tu w redakcyi pokochali cię za to, że oglądając tyle osobliwości, patrząc, jak sama powiadasz, na różne morza, rzeki, jeziora, góry, tunele i miasta najslawniejsze, tyś jednak zawsze do „Wieczorów” tęskniła. Prosząc cię o opis szkół angielskich, sądziłam, że po tej wędrowce znowu nad Tamizą się osiedlisz.

Jakaż to miła i pocziwa z ciebie osóbką, moja Jedlinko, tak serdecznie mi dziękujesz za to, że ci omyłkę wytknęła; inna na twojem miejscu możeby noskiem pokręciła i zaprzestała korespondencyi. Ach! były już takie. Tymczasem, pomyśl tylko: jakażbyto nieszczera, fałszywa przyjaciółka była ze mnie, gdybym wam tylko pochlebiała, a nauceżywszy się sama czegoś, pracując w redakcyi, chowała to światło pod korcem i z wami się nie podzieliła. Zresztą, czy to wstyd, jeśli kto w twoim a nawet w moim wieku się pomyli? Gdybyśmy wszystko umiały, tobyśmy nie potrzebowały się uczyć. Powiem ci pod sekretem, że ile razy nadejdzie wypracowanie 11-to lub 12-to letniej panienki napisane bez żadnej omyłki, wzorowym stylem, Kochana pani głową kręci i różne miewa podejrzenia...

Śliczne liściki otrzymałam od Śnieżycy i Krasnolicy, przykro mi bardzo, że wcześniej za nie podziękować nie mogłam. Bo przecież o uczuciach moich nie potrzebuję was upewniać, drogie moje; kocham was z całego serca, choćby dlatego, żeście były takie dobre dla Kochanej pani, obsypywałyście ją kwiatami, które ona nad wszystko lubi i tyle jej okazywałyście współczucia. Spodziewam się, że Krasnolica już na oczy cierpieć przestała.

Muszę wyznać, że mi to zawsze szczególnie pochlebia, ile razy otrzymam odezwę od któregoś z młodych naszych czytelników. Wiem ją dobrze, jak młodzież męzka gardzi zazwyczaj podlotkami, to też każda odezwa podobna dodaje mi jakoś powagi. Zawisza Czarny pisze ze stron dalekich, aż z Besarabii, zapytuje, czy ja zechcę z nim korespondować? Ależ z radością i dumą, dzielny rycerzu Zawiszo. Smutne rzeczy opisuje ten korespondent. Był świadkiem okropnego pożaru w małym miasteczku. W biały dzień spaliło się dwieście domów i dwóch ludzi zginęło. Pożar bez należytego ratunku, to rzecz przerażająca. Jakież to szczęście, że u nas w Warszawie dzielna straż ogniowa nigdy prawie do większych klęsk nie dopuszcza.

Szczęśliwa ty jesteś, Halko z Litwy, z dzienników tylko dowiadywałaś się o deszczach i burzach, które nas tu przez całe lato tak okropnie trapiły. Błogosławiona to jakaś okolica, w której zamieszkujeś, bo w całej Europie podobno narzekano na taką niepogodę. Przy końcu tego listu będziesz miała zadanie konkursowe, ogłaszam je nawet przed rozstrzygnięciem konkursu robót, bo zewsząd się upominają o nowe zadanie.

Bardzo ci się to chwali, Konwalijko, że będąc na wsi podczas wakacyj, nie omieszkałaś zwrócić uwagi na pamiątki historyczne, znajdujące się w pobliżu. Ja sama nic a nic nie słyszałam o Goworowie, osadzie w Ostrołęckiem, gdzie, jak powiadasz, w podziemiach kościoła znaleziono tablicę z napisem świadczącym, że Goworowo założone było przez Goworka Sandomierskiego. Dziękuję ci też serdecznie za tę wiadomość. Złotowłosa Rusalka mnóstwo miłych rzeczy pisze, nie zasłużyłam na tak pochlebne wyobrażenie o mojej osobie. Nie pragnę wcale rozgłosu, dlatego też darmo byście mię pytały o prawdziwe moje nazwisko. Gdyby mi się udało kiedyś, w przyszłości, napisać dzieło jakieś poważne i użyteczne, wówczas podpiszę się na niem, bo miło jest zasłużyć na uznanie, miło i sławę zdobyć; lecz dziś, liściki te moje są drobnostką taką, że śmiesznie byłoby się czemś podobnem przechwalać przed światem. Do was te słowa stosuję także, Litwinko i Stokrotko z nad Stochodu, (bo sądzę, że zostaniesz przy tym ładnym dawniejszym pseudonimie.)

Miła Iskierko lubelska! czyżbym naprawdę była tak

niegrzeczna i nie podziękowała ci po odebraniu fotografii, która mię tak ucieszyła? Zapewne zapomniano wydrukować to podziękowanie, ja o niem nie zapomniałam. Różyczka majowa, zamiast fotografii, przysłała rysopis tak dokładny, że widzę wyraźnie przed sobą jej osóbkę. Jakże ja ci zazdroszczę, że możesz biegać swobodnie na bosaka po ogrodzie i ulubione kwiaty pielęgnować. Zimą jednak musisz zapewne wdziać trzewiczki i zwrócić się do innych zajęć.

Nowa korespondentka, Wiejska Rusalka, przypomiała mi dzieciinne moje lata. Ja także wychowałam się na wsi, i w takim odosobnieniu, że mało miałam stosunków z panienkami swojego wieku, dlatego też może i lalkami nie bawiłam się nigdy, wolałam zabawę ze zwierzątkami, tak samo, jak ty, Wiejska Rusalko, lubiłam bardzo psy, krówki, kury, tylko nie koty, do tych miałam zawsze wstręt niewytłomaczony. Zajęcia, które opisujesz, Rusalko, miłe są i pożyteczne, radzę ci w nich wytrwać i nigdy nie tęsknić do innego rodzaju życia.

Cyganczko z nad Wisły, czemuż tak rzadko się odzywasz? Czy dlatego, że ja tak długo zwlekałam z odpowiedzią? O, moja droga, nie liczymy się na listy, ty co innego, byleś miała markę pocztową, już i pisać możesz, ze mną, jak wiesz, inna sprawa. Donieś przynajmniej, czy uleczyłaś się z tej nieznośnej blednicy, siedząc w polu i snopki na fury nakładając? W każdym razie lekarstwo nie było przykre. Ponieważ i ty już należysz do nieboraczek wyłączonych z konkursu, pamiętaj o tem, co pisała Sarenka z nad Moroczku, że korespondencya z Gołąbką pocztową może wam to choć w części wynagrodzić.

Wisienka z nad Sobu nie gniewa się, czemuż więc tak dawno nie pisała? Świtezianka narzeka, iż zapomniano o niej w redakcyi. O nie, Świtezianko, wierz mi, gdybym naprawdę ptaszkiem była, pofrunęłabym do ciebie, lecz na skrzydełkach wyobraźni często zaglądam do ogrodu, w którym tak odważnie i wytrwale pracujesz.

O Warszawie, choć list mój z Warszawy wysyłam, nic wam dziś chyba nie doniosę. Dużo pisano i mówiono w ostatnich czasach o gromadce Ceylończyków czy Syngalezów, mieszkających na wyspy Ceylonu, którzy tu w ogrodzie zoologicznym założyli obóz i wspaniałe słonie przyprowadzili z sobą. Widziałam ich, ale cóż tam tak ciekawego można o nich napisać? Że mają cerę cynamonową, stroje niezwykle, obwieszane błyskotkami, no... i chyba nic więcej. Zapewne mi więc nie weźmiecie za złe, że tyle papieru zapisałam na przyjacielską, serdeczną pogawędkę z wami, na nowiny warszawskie, niezbyt ciekawe obecnie, miejsca nie zostawiając.

Nowiny jak nowiny, ważniejsza sprawa pozostaje mi dziś jeszcze do załatwienia: zadanie konkursowe! Dawno go nie było, trzeba więc wystąpić z czemś dobrem, a niezbyt trudnem, aby wszystkich zadowolnić. Cóż powiecie na to, gdyby tak wziąć na uwagę przysłowie: „Według stawu grobla”. Myśl piękna, rozsądna, no, i niezbyt przecież trudna do zrozumienia. Jak grobla do wielkości stawu powinna być zastosowana, tak i każde przedsięwzięcie, czyn każdy, musi się ściśle stosować do środków, do możliwości, ażeby pożytek przynieść. Rozmaicie zresztą przysłowie to może być zrozumiane i wyjaśnione, pozostawiam to waszym roztropnym główkom. Zadanie moje na tem zależy, by z życia prawdziwego, z wydarzeń, które się widziało, lub o których się słyszało od osób wiarogodnych, wynaleźć i przedstawić przykład, potwierdzający trafność tego przysłowia: „według stawu grobla”. Zdarzenie takie należy opowiedzieć treściwie, niezbyt rozwlekle. Najlepsze odpowiedzi będą nagrodzone. Zwracamy uwagę na warunki następujące:

Do konkursu mają prawo należeć czytelnicy i czytelniczki do lat 15-tu, co znaczy, że kto ukończył rok 15-ty choćby wczoraj dopiero, a dziś rozpoczął 16-ty, już traci to prawo. Przy odpowiedzi należy się podpisać imieniem i nazwiskiem prawdziwym, wymienić lata, podać adres dokładny, a prócz tego pseudonym do druku. Wszystko to powinno być wypisane na tym samym papierze, nie na osobnych kartkach, które łatwo wypadają i zarzucają się. Odpowiedzi będą

przyjmowane do 20 Listopada. Warunki te są łatwe do spamiętania, a jednak często zapominają o nich przysyłający odpowiedzi na zadania konkursowe, czem sami sobie szkoda, gdyż w takim razie odpowiadzi ich nieczytane muszą iść do kosza.

Serdeczna przyjaciółka

Gołąbka pocztowa.

Kuropatwa uwięziona.

Biedne ptactwo, które nie odlatuje na zimę do stref cieplejszych, lecz pozostaje w naszym mroźnym klimacie, narażone bywa na wiele niebezpieczeństw, zwłaszcza, jeżeli przypadnie ciężka zima. Taka była właśnie zeszłoroczna, odznaczała się przytem niesłychaną ilością śniegu. Pewien myśliwy we Francji był świadkiem strasznego wypadku, przedstawionego na naszej rycinie. Kuropatwa zamaczała ogonek w źródelku, w którym piła wodę, potem chodziła po równinie, pokrytej śniegiem i tyle nazbierała na piórka tego śniegu, że się z tego powoli utworzyła duża i ciężka kula. Ptaszyna nie mogła się wznieść w powietrze z tą kulą u ogona, wlokła się też po ziemi bezsilnie, gdy wypatrzyły to żarłoczne i drwienne kruki. Korzystając z nieszczęścia biedaczki, która mknąć nie była w stanie, rzuciły się na nią i żywcem porwały.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚBODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Ależ, moja droga, nie było w tem przecież twojej winy.

— Zapewne, takbym jednak pragnęła jaknajprędzej wynagrodzić tę krzywdę, wyrządzoną bezwiednie. Ach! musimy koniecznie się ztąd wyrwać, powracać do Europy.

— Moja Kasiuniu, z taką samą gwałtownością pragnęłaś jechać do Afryki. Ja, przyznam ci się szczerze, tak znów wielkiej ochoty do tój podróży nie miałem, dla ciebie to zrobiłem, że stare kości trząsałem na wodzie i lądzie. Teraz wcale mi tu jest niezłe i chętniebym pozostał dłużej w Timbukt, ażeby uzupełnić ten wspaniały zielnik, który mi zapewne niemało chluby przyniesie. Ale cóż mam robić, przywykłem spełniać zawsze twoją wolę; chciałaś wędrować do Afryki, powędrowałem z tobą, chcesz wracać do domu, wracamy.

— Otóż to kłopot, wujaszku, że jesteśmy obłączeni i niepodobna z Timbukt się wydobyć.

— A widzisz, cóż ja na to poradzę?

— Właśnie, że mógłbyś poradzić, wujaszku, gdybyś chciał.

— Co też ty pleciesz, w głowie ci się miesza.

— Wcale nie, zaraz ja ci to wytłumaczę, wujaszku drogi; ale najpierw powiedz mi, na co ci właściwie te twoje zielniki, do czego to może służyć?

— Czyś oszalała, dziewczyno! Co za pytanie! Do czego mogą służyć zielniki? Ależ wiedza, cywilizacja, postęp, najważniejsze sprawy świata, przeznaczenie ludzkości... mój Boże! Ona pyta, do czego służą zielniki! Zawstydzasz mnie, Kasiuniu, byłem przecież opiekunem twoim, a słysząc cię, możnaby pomyśleć, żeś żadnego wykształcenia nie otrzymała.

— Nie chciałam ci wstydu przynieść, wujaszku, wierzę więc, że ludzkość nie mogłaby istnieć bez zielników. Ale czyliż koniec świata nastąpiłby zaraz, gdybyś mi ofiarował ten oto jeden?

— Co, mój zielnik? Chcesz, żebym ci dał zielnik? Jeżeli mi dasz słowo, że go nie zepsujesz i dowiesz się w całości do Hagi, gdzie go mam złożyć w ofierze do muzeum...

— Wujaszku, złóż go lepiej w ofierze dla wybawienia naszego. P. Lemercier nie może rozpocząć walki z nieprzyjacielem, bo mu braknie papieru na naboje...

— Co, co? i tybyś chciała takie świętokradztwo popełnić? Mój zielnik, flora okolic Timbukt, mnóstwo okazów, niewidzianych dotąd w Europie, i to ma iść na naboje!

— Wiesz co, wujaszku; ja to jakoś tak urządzę, żeby twoje zbiory nie przepadły, szkoda byłoby owocu tak wytrwałej pracy. Szejk El Bakai ofiarował na naboje księgi z biblioteki, lecz nie przyjęto tój ofiary, to byłaby szkoda niepowetowana.

— A moich zielników nie szkoda? Czyście głowy potracili!

— Ależ zielniki nie przepadną, przyrzekłam to przecież wujaszкови. Weźmiemy parę ksiąg z biblioteki, przełożymy w nie rośliny z zielników, a papier zostanie i pójdzie na naboje.

— Połowa okazów połamie się niezawodnie przy tem przekładaniu, porządek przepadnie... — jęczał biedny stary, chwytając się oburącz za głowę.

— Nic się nie stanie, a przyczyni się wujaszek do świętnego zwycięstwa, które p. Lemercier odniesie niezawodnie nad nieprzyjacielem. I potem zaraz wyruszmy do Europy.

— Jestem tak słabego charakteru, że dziecko robi ze mną, co tylko chce...

— Jesteś najlepszy, najzaciejszy, najukochańszy w świecie człowiek — mówiła p. Katarzyna, obsypując staruszkę pieścotami. Odniosła zwycięstwo, a w godzinę kapitan Lemercier miał już papier potrzebny na naboje. 1-go Czerwca wszystko było w pogotowiu. Armaty stały na wałach, amunicji nie brakło, na puszkarzy znalazło się pomiędzy Fulanami i Tuaregami spora gromadka uzdolnionych ochotników. A jednak liczba dział przenosiła liczbę ludzi, więc wielkorządca odwołał się do nas o pomoc. Nietylko ja, lecz poczciwy wujaszek Bak i Karol musieli stanąć przy armatach, nie było rady. Przychodzący do zdrowia Henryk także nie chciał pozostać bezczynnym.

2-go Czerwca odbyła się rada wojenna, w której zasiadali, oprócz wielkorządcy, szejk El Bakai, Feredzi, poseł sułtański, wielki kowal i dwaj bracia, Edgar i Henryk, którzy w obec wojska zachowali przybrane nazwy Imestana i Sadaktu. 3-go dopiero rozpoczęliśmy kanonadę o świcie, hasłem była raca, wypuszczona z minaretu Sankore. Wujaszek Bak z przykładną rezygnacją poddał się dziwnemu losowi, który mu kazał na starość puszkarzem zostać; nie był tchórzem, więc stał spokojnie, gotów spełnić powinność, chociaż pragnąłby był zapewne znajdować się o sto mil od tego narzędzia śmierci, którego sam widok wstręt w nim budził. Inaczej się rzecz miała z Karolem; ten nie ukrywał bynajmniej swych uczuć, i najmniejszej skłonności nie miał do bohaterskich czynów. Wskazano mu dokładnie, jakim sposobem należało lont przyłożyć do armaty, tłómacząc przytem, że to łatwa bardzo sprawa; ale jemu to zatrudnienie wcale nie przypadało do smaku, kręcił się, jak fryga i ciągle do mnie się odwoływał o ratunek.

— Panie do-do-kto-rze — bąkał biedak — ja-te-go-go ni-gdy-nie-nie-ro-ro-bi-bi-łem...

— To nic nie znaczy — perswadowałem mu — ja także nie mam wprawy, ależ to nie żadna robota, lont przyłożysz i po wszystkim.

— A je-że-li mi się co-co-co-sta-sta-nie?

— Cóż ci się stanie? Nie bądźże dzieckiem.

— Ba! dzie-dzie-dzie-kiem...

W tój chwili właśnie raca ozwała się z minaretu, Henryk Voost, któremu powierzono komendę nad artylerją, dał znak Karolowi, stojącemu z brzegu, aby rozpoczął ogień. Nieborak rad nie rad przyłożył lont, huk straszny przebił powietrze, nietylko Karol, lecz ja i kilku innych padliśmy na ziemię, prawie ogłuszeni. Powstawszy po chwili, ujrzelśmy rozsypane szczątki armaty, nabój ją rozerwał.



OSOBLIWSZA PIŁKA.

Na rysunku widzicie dziecko osadnika w Ameryce południowej, a obok niego przedmiot okrągły, do dużej piłki podobny. Kotek wyciąga pazurki, oczy mu błyszczą, radby się dostać do środka téj gałki, bo po wierzchu jest cała pokryta twardymi, rogowymi łuskami. Domyślicie się zapewne, że to taż sama żywa piłka niżej na naszym obrazku stoi na czterech łapkach i łebek z uszkami wystawia ze swego pancerza. Dziwne to stworzenie przebywa w Ameryce południowej, zowie się pancernikiem, łatwo odgadnąć, dlaczego. Ma bowiem prawdziwy pancerz, z twardych, ruchomych łusek złożony, przypomina nim trochę żółwia.

Osadnicy hiszpańscy, zamieszkali w Ameryce, nazywają to zwierzątko *bolita*, czyli gałka, a także *armadil*, co znaczy po hiszpańsku pancernik. Dzieci tam często się bawią temi ucielnymi piłeczkami żywymi, bo pancernik jest łagodny, nic im złego zrobić nie może i łatwo się daje oswoić. W uiewoli jada mięso, chleb i rozmaite pokarmy, na swobodzie żywi się głównie mrówkami i innymi owadami, kopie sobie nory podziemne i w nich się przez dzień ukrywa, w nocy wychodzi na łowy.

W Ameryce, jak wiecie, żyje po lasach mnóstwo małp, a te biednym pancernikom strasznie dokuczają. Powolne i niezgrabne zwierzątko nie może uciec od swoich prześladowców, ale zaraz skręca się w piłkę, całe się w twardym pancerzu ukrywa i małpka darmo ze wszy-

stkich stron przyskakuje, toczy piłkę i podrzuca, nic złego nie zrobi pancernikowi, póki w skorupce swój siedzi bezpiecznie. Małpeczce zwykle przykrzy się w końcu ta zabawa, a byle na chwilę się oddaliła, pancernik z nadzwyczajną szybkością wkopuje się w ziemię. Trzy minuty wystarczają mu na to, aby się całkowicie ukrył w najtwardszym nawet gruncie, a jak tylko raz siedzi pod ziemią, już się ztamtąd wydobyć nie da. Najsilniejszy człowiek nie zdoła zwierzątko wyciągnąć z nory, choćby je za ogon pochwycił.

Są także w Ameryce i większe pancerniki, wszystkie pokryte podobnymi łuskami, chociaż inne gatunki nie skręcają się tak zręcznie w piłkę. Największe, zwane olbrzymiami pancernikami, dochodzą wielkości świni domowej. Ale kiedyś, w czasach niezmiernie dawnych, których ludzie nie pamiętają, żyły w tejże samej Ameryce zwierzęta tego rodzaju prawdziwie olbrzymie, takiej wielkości, jak woły, a nawet jak nosorożce. Kości ich, głęboko zagrzebane w ziemi, odkopują ludzie i przechowują w gabinetach zoologicznych. Jeżeli były pomiędzy niemi i takie, co się w okrągłe kule skręcały, musiały wyglądać bardzo dziwnie.

Mieszkańcy Ameryki południowej tak prześladują terazniejsze pancerniki, że zapewne i te niezadługo wytępią. Zabijają je dla mięsa, które ma być dość smaczne, lecz więcej jeszcze dla tego, że zwierzęta te okropnie szkody wyrządzają, kopiąc wszędzie po łąkach i równinach głębokie swoje nory. Osadnicy znów hodują mnóstwo bydła i koni na rozległych pastwiskach, ciągle hasają na koniach, a gdy wierzchowiec w pędzie natrafi na taki dół pod stopami, przewraca się, często nogi łamie i jeźdźca kaleczy. I pasące się bydło ulega także z tego powodu wypadkom podobnym.

ROMCIO.

Na Ujazdowskiej ulicy
Ptaszki szczebiotały,
Że tam w pięknej kamienicy
Mieszka Romcio mały.
Rzeczy o nim można było:
„Nieżyły to chłopczyzna”.
Ale patrzeć nań nie miło,
Skoro jeść zaczyna.
W buzię kładzie łyżkę całą,
Dławi się i krztusi,

I przestachu tem niemało,
Przyczynia mamusi,
Gdy zaprędko coś połyka.
O! nieładnie jada,
Dla grzecznego to chłopczyka
Wcale nie wypada.
Ptak na różne siada drzewa,
Strzeż-że się go, dziecię,
Bo o tobie wieść wyśpiewa
Wnet po całym świecie.
Czy jesz obiad, czy śniadanie,
Czy wreszcie wieczerzę,
Jedz-że grzecznie, o kochanie,
Przestrzegam cię szczerze.

Helena Bojarska.

OPOWIADANIA MAMY.

Dziecko cudowne.

Daleko, daleko, za górami Karpackimi, tam, gdzie to rosną te dobre winogrona, z których węgierskie pijemy wina, urodziła się śliczna królewna i dano jej imię Jadwiga. Znasz już to imię, Stasiu, tak samo nazywała się matka Henryka Pobożnego, kochali Polacy to imię i dawali je chętnie swym córkom.

I malutka królewna na Węgrzech była także trochę Polką, więc ją ochrzczono Jadwigą. Jakim sposobem Polką? zaraz ci to przypomnę: Kazimierz Wielki, król chłopków, a opowiadałam ci o nim niedawno, miał siostrę Elżbietę, którą ojciec, Łokietek, wydał za żonę króla węgierskiego, i to ci już mówiłam, synku, tylko może zapomniałeś. Kręcisz główką, że nie, więc bardzo dobrze, mama cieszy się gdy ty pamiętasz jej historię, i za to też dziś opowie ci śliczną o tej maleńkiej księżniczce, co się urodziła na Węgrzech. Była ona wnuczką Elżbiety Łokietkówny.

Jak umarł Kazimierz Wielki, nie było komu rządzić Polską, posłano więc posłów do Węgier, prosząc Elżbietę, żeby przysłała nam na króla swego syna Ludwika, ojca tej malutkiej Jadwigi, bo wiadano, że bardzo dobrze w Węgrzech rządził.

Ale cóż, pokazało się znów, że król węgierski dobry dla Węgier, a Polsce trzeba polskiego króla. Nie kochali Polacy Ludwika, gdyż prawie nigdy w Krakowie nie mieszkał i mało dbał o nas, ale szanując w nim krew Piastowską, przyrzekli, że po jego śmierci córkę królewską, młodziutką Jadwigę, zrobią królową.

Widzisz więc, że miałam rację mówiąc, iż ta śliczna węgierska dziecina była trochę Polką. Żebyś cały dzień opowiadała, jeszcze nie skończyłabym powtarzać wszystkich historyj, które o Jadwidze zapisali kronikarze, to jest tacy uczeni, którzy zapisują wszystko, co królowie mówią i robią. Otóż Jadwiga miała być prawdziwym królem, z koroną na głowie, jak widziałeś na obrazku. Uśmiechasz się, bo sobie myślisz: co mi tam za król baba, król w spódnicy, dopiero mi to król! Ale poczekaj, jak

ci opowiem o Jadwidze, to się zawstydzisz tego lekceważenia.

Zaczynam od tego, jak się urodziła. Słyszałeś pewnie, że w bajkach wróżki dają małym księżniczkom swe dary. Otóż przy kolebce Jadwigi musiały stanąć święte polskie, bo przecież wiesz, że wrózek niema na świecie, i dać jej wszystkie swoje cnoty, gdyż Jadwiga prawdziwie była cudownem dzieckiem. Dobra, i jak anioł piękna, pracowita była, jak mróweczka, widziałeś ornaty haftowane w Częstochowie i Krakowie, to jej śliczne rączki przyszywały te perły na nich.

Śliczne były i maleńkie te rączki pracowite, śliczne i maleńkie te nóżki, któremi biegła po ubogich uliczkach Krakowa, niosąc chleb nędzarzom, bo do dziś dnia w Sandomierzu chowają maciupęńkie jej rękawiczki, których para w pudełeczku z orzecha włoskiego się mieści, a trzewiczek, jak cacko maleńki, przechowuje lud wiejski w Świątnikach pod Sandomierzem, na pamiątkę królowej, która wszystkim wieśniakom tamtej okolicy na własność ziemię nadała.

Musiało być to dziecko doprawdy cudowne, kiedy cztery lata dopiero żyło na tym świecie, a już niemiecki książę, Wilhelm, zaręczył się z nią, bo mądry Niemiec wiedział, że takiej drugiej prześlicznej, przedobrej panienki nie znaleźć, jak świat długi i szeroki. Oj, nie znaleźć, Stasiu, to też jak panowie polscy, wysłani po Jadwigę do Węgier, ujrzeli tę swoją królową, to ją pokochali odrazu, i przysięgli, że nie dadzą jej byle komu, i strzedz będą, jak największego skarbu.

Żyła więc śliczna panienka w Krakowie, siadała na tronie, kładła koronę na głowę, sądziła sprawy, jak kto się przed nią krzywdy uzałił, a chociaż nie nosiła szczerbca przy boku, niechby tylko nieprzyjaciel spróbował napaść na Kraków, byłoby tysiące mieczy podniosło się w jej obronie, bo cały naród, jak jeden człowiek, gotów był bronić swęj pani.

Czy pamiętasz, że już raz kobieta rządziła Polską i poświęciła się dla niej? Wanda poganka skoczyła do Wisły, aby nie dać Krakowa Niemcowi Rytygierowi. I teraz był Niemiec, co chciał Jadwigi za żonę, a z nią Polski naturalnie, bo Niemcy zawsze na nasz kraj ostrzyli zęby.

Wilhelm nie zapomniał wcale, że go zaręczono z Jadwigą. Przyjechał do Krakowa, otoczony mnóstwem rycerzy i dalej na zamek, a tu panowie polscy zamykają bramy i mówią: Nic z tego, mój panie; ani kraju ani królowej Niemcowi nie damy.

A na zamku siedzi Jadwiga i słyszy kłótnią, wygląda oknem i widzi, że to jej narzeczony Wilhelm przyjechał. Jadwiga kochała Wilhelma, chciała biedz do niego, ale panowie polscy klękają na progu i puścić nie chcą.

Jadwiga była królową i kobietą kochającą. Wiesz, co zrobiła. Schwyciła topór i chciała bramę wyrąbać, żeby się dostać do ukochanego, a w ślicznych jej oczach błyszczał gniew, że jej, królowej, śmia drogę zagrażać, śmia się sprzeciwiać.

Śliczna musiała być w tej chwili, ale o ileż piękniejszą jeszcze, kiedy opuściwszy topór, pomyślała: „Ja

królowa, oni mnie słuchać powinni, ale ja także słuchać muszę — Boga i obowiązku”.

Wiesz, co zrobiła Jadwiga, gdy myśl ta w sercu jej się zrodziła? Oto prosto z zamkowej komnaty poszła do wawelskiej świątyni, tam stały trumny Łokietka i Kazimierza, Piastowskich jej dziadów, tam wisiał Chrystus na krzyżu i wyciągał skrwawione ramiona nad dziewczką, której serce krwawiło się także. Padła na twarz przed ukrzyżowanym Bogiem i oddała mu się w opiekę.

Widziała, że nowa jej ojczyzna przepadnie, jeśli ją w niemieckie odda ręce, wyrzekła się więc miłości dla ukochanego i powiedziała Bogu w pokorze: „Zrób ze mną, co zechcesz, Pani!” Wilhelm odjechał zawstydzony, a Chrystus, co każdą łzę, ofiarowaną sobie, przyjmuje i liczy, przyjął poświęcenie Jadwigi i za szczęście ziemskie dał jej najwyższą nagrodę, bo tysiące dusz pogańskich nawróciło to dziecko cudowne.

Tak, Jadwiga stała się apostołem, a lud zwie ją także świętą; ale resztę historii opowie ci mama jutro, na dziś już dosyć.

Z. Bułowiecka.

Pocziwy Medor.

Daleko, bardzo daleko, we Francyi, na wybrzeżu morskiem bawiła się gromadka dzieci. Ciepło było i pogodnie, ale wiatr dosyć silny wiał od morza i podnosił duże fale. Ładny to był bardzo widok, gdy ogromna fala wodna, pokryta pianą białą, podnosiła się zwolna, potem pochylała i spadała z pluskiem i szumem na piasek nadbrzeżny.

Jeden ze starszych chłopczyków namówił dzieci, ażeby się „gonić z falami”, jak on to nazywał. Wszystkie stawały szeregiem w miejscu, gdzie fala spaść miała, a gdy zaczynała się pochylać, one śpiesznie uciekały. Bardzo to było zabawnie słyszeć za sobą plusk i szum wody, uczuć czasem wilgotne dotknięcie na piętach i pędem biedz z falą na wyścigi. Ale zabawa to niebezpieczna, zwłaszcza dla młodszych dzieci, bo nużby się które spotknęło i upadło, a duża, szumiąca fala je przykryła i porwała, wracając do morza!..

Tak się też i stało. Nikt ze starszych osób, przechadzających się na wybrzeżu, nie zwrócił uwagi na zabawę dzieci, dopiero gdy naraz ozwały się krzyki przeraźliwe:

— Mimiśia upadła! Mimiśię fala porwał! Mimiśia tonie! — przybiegła najpierw przerażona matka Mimiśi, a za nią kilka innych pań i panów. Lecz wszystkich wyprzedził ogromny pies Medor, z gatunku psów z Nowej Ziemi, umiał on pływać doskonale i tonących ratować. Medor bawił się nieraz z Mimiśią na wybrzeżu, chociaż należał do obcego jednego pana, ale lubił wszystkie dzieci i w mgnieniu oka wskoczył do wody, schwycił dziewczynkę za pasek u sukienki i przyniósł ją na brzeg.

Mama uszczęśliwiona porwała Mimiśię na ręce, dziewczynka nawet przytomności nie straciła, oczki mia-

ła otwarte, tylko się przestraszyła i przełknęła trochę gorzkiej wody morskiej. Uspokoiwszy się o córeczkę, mama obejrzała się za Medorem, bo choć to było tylko zwierzę, chciała mu jednak pieszczotami przynajmniej wdzięczność swoją okazać.

Lecz jakież było zdziwienie mamy i innych osób obecnych, gdy ujrano, że Medor poraz drugi rzucił się do wody. Wszystkich ogarnął przestach, pytali jedni drugich, czy nie wpadło jeszcze inne dziecko niepostrzeżenie do morza? Zagadka wyjaśniła się po chwili: Medor przyplął na brzeg, trzymał w pysku niekształtną, jakąś paczkę przemokłych lachmanków i złożył to u stóp Mimiśi. Była to laleczka, którą dziewczynka trzymała w rączkach, gdy ją fala porwała.

Nikt rozumie się o tej lalce nie pomyślał nawet, spostrzegł ją jednak pocziwy Medor i jakby prawdziwą, jaką osobę uratował. Możecie sobie wyobrazić, ile pieszczot dostało się dnia tego roztropnemu pieskowi od Mimiśi, od jej mamy i od wszystkich, którzy na bohater-
skie jego czyny patrzali.

ZŁAMANY GRZEBIEŃ,

przez Kazimierę.

(Dokończenie).

— Czy Karolina mówi to naprawdę? — zapytał Bronek.

— O! my Karoliny nie puścimy — zawołała Dorcia — Stasia przecie raz musi przyjść do rozumu, ma już lat siedm.

— Żeby to rozum chciał przyjść do niej lepiej — — rzekł Bronek, kiwając głową — bo ona może nie wybierze się do niego tak prędko.

Drzwi się otworzyły, mama weszła do pokoju, a ujrawszy Stasię, rzekła ze zdziwieniem:

— Jakto? Stasia jeszcze nie ubrana?

I cała sprawa musiała być mamie opowiedziana, a na ostatku Karolina pocałowała panią w rękę i rzekła:

— Proszę pani, bardzo mię serce boli, i żal mi niesłychanie, ale muszę za służbę podziękować, ja przy Stasią dłużej wytrzymać nie mogę.

Mama spojrzała ze smutkiem na córeczkę, a zwracając się do służącej, rzekła:

— Nie, moja Karolino, jesteś dobrą i bardzo mi dogodną, już lat dwanaście, od dnia mego ślubu jesteśmy razem, nie możemy się rozstać dla takiej przyczyny.

— Ale, proszę pani, ja ze Stasią wytrzymać już nie mogę, oto znów grzebień złamany.

— Ręcę ci, że to już ostatni — rzekła mama — wakacje zbliżają się ku końcowi, odwożąc Bronka, odwożę i Stasię na pensyę, tam się nauczy rozumu, dobroci i grzeczności, kiedy jest głucha na głos matki, i tak dobrej nauczycielki, jak panna Adela. Dorcia sama się w domu uczyć będzie.

Widząc poważną i surową twarz matki, Stasia pierwszy raz w życiu przeraziła się naprawdę.

— Mamusiu! — krzyknęła, przypadając do kolan matki — mamusiu, ja się poprawię!

— Obiecywałaś to już po wiele razy — rzekła matka obojętnie — przestałam wierzyć twemu przyrzeczeniu, pojedziesz więc na pensyę. Miałam zamiar jeszcze lat kilka mieć was przy sobie, i dopiero gdy Dorcia skończy lat czternaście oddać was obie razem, ale gdy tak być nie może, ty pojedziesz, a Dorcia jeszcze lat sześć będzie w domu.

Stasia zalała się łzami, nie wiedziała, co robić, ale Karolinie żal się bardzo zrobiło małej grymaśnicy, zaczęła więc prosić za nią, przyłączyli się do tego Dorcia i Broniek, i mama na ten raz jeszcze przeprosić się dała.

Wszystko skończyło się szczęśliwie, a gdy dziewczynki przyszły na lekcye, Dorcia zapytała p. Adeli:

— Proszę pani, co to jest kość słoniowa?

— Zkądże ci przyszło to pytanie? — rzekła panna Adela.

— Złamał się dziś grzebień Stasi, i Broniek mówił, że to był z kości słoniowej.

— Prawdziwa kość słoniowa pochodzi z kłów słonia, a co jest słoń, o tem wiecie zapewne — rzekła panna Adela. — Najładniejsza kość taka jest z mamutów, z Syberyi północnej, ale ta w ziemi się wykopuje, ponieważ mamuty znikły z powierzchni ziemi. Należą one do zwierząt przedpotopowych, kości mamutowej kopią rocznie do 40,000 funtów, jest ona przezroczytsza od zwyczajnej, i na powierzchniach jój oszlifowanych występuje zwykle siatkowaty rysunek.

— Dlaczego pani mówiła, „prawdziwa kość słoniowa”; czy jest i fałszowana? — zapytała Dorcia.

— Jest sztuczna, wyrabiana z różnych substancyj mineralnych — odpowiedziała p. Adela.

— Czy żadne inne zwierzę nie posiada takich kłów, jak słoń? — pytała zaciekawiona Dorcia.

— Owszem, kieł narwala, przednie i trzonowe zęby konia nilowego, dostarczają kości słoniowej, bardzo dobrą kość dają także zęby hipopotama, czyli konia morskigo.

— Opowiem to Bronkowi, aby nie myślał, że tylko on wie wszystko — rzekła Dorcia, zabierając się do lekcji — żebym tylko spamiętała dobrze.

— O, ja spamiętam — zawołała Stasia — powtarzałam sobie wszystko po kilka razy; chcesz, to ci powtórzę.

Trzeba dodać, że Stasia zmieniła się zupełnie, jest bardzo grzeczna, a przy czesaniu opowiada zawsze Karolinie różne ciekawe rzeczy, których się dowie od panny Adeli. Gdyby jednak dawne grymasiki wróciły, doniosą nam o tem zaraz, a wiadomością tą podzielimy się z czytelnikami.

Łamigłówka kryształowa.

(Od Gołąbka Czarnego dla Wiejskiej dziewczeczki).

1. Spółgłoska.
2. Nazwa miesiąca.
3. Miasto w Turcyi azyatyckiej.
4.
5. Autor pamiętników.
6. Rzeka w Rosyi.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko poety, już nieżyjącego

ROZWIĄZANIE DO N-ru 40-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

BalaaM — RakI — OdynieC — DziobaK — ZambezI — IndyE — NareW — Sobieski — KrólewicE — IwonicZ.

Brodziński — Mickiewicz.

Skrzynka do listów.

Maryni O. w Swierzach odesłano powtórnie żądane Numera Pisma, chociaż wszystkie były jaknajakuratniej wysyłane.

Rezeda mogłaby z pewnością należeć do konkursów pisanych, bo Gołąbka pocztowa wcale nie jest wymagająca, trzeba tylko mieć troszkę odwagi.

Rybka na Mazowszu wielką nam sprawiła przyjemność obietnicą, że odtąd pilnie uczyć się będzie robótek, aby do przyszłego konkursu należeć.

Antosiowi K. odesłano żadaną książeczkę.

Cygneczka z nad Wisły niesłusznie nazywa swoje pismo, bardzo czytelne i porządne, hieroglifami. Że Cyganeczka zła nie jest, o tem nie wąpiliśmy nigdy. Tytuł „przyjaciółki” jest najwłaściwszy, bo my wszystkie kochane korespondentki za przyjaciółki uważamy.

Amata ucieszyła nas niezmiernie tak szczegółowym opisem Okrężnego, a już co fotografią, tośmy powitali z radością największą. Gołąbka powiada, że Amata daleko poważniej od niej wygląda.

Kochana Jesieni! Dziękuję ci bardzo, żeś mi odpisała. Moje nazwisko, tak samo jak i twoje, od tej samój co imię zaczyna się litery, mam lat 12 jestem w IV klasie i mam jednego brata Stasia, który chodzi do II-giej klasy. Nie mogę się domyśleć, kim jesteś. Czy twoja siostra nie założyła teraz pensyi w Mławie? Całuje cię serdecznie i prosi o prędką odpowiedź, Kropelka wody z Wisły.

Kochana Grubulko! Chciałabym się z tobą zapoznać, i dla tego piszę do ciebie. Donieś mi coś o sobie. Ja mieszkam w Lublinie, mam lat 8, nazywam się Maniusia. Moja najstarsza siostra uczy się w Warszawie, a oprócz niej mam jeszcze dwoje rodzeństwa. Kochająca cię Igiełka,

Droga Topolko srebrna! Donoszę ci, moja złota, że prócz lekcji cały prawie dzień gram w kromiata, na fortepianie, i czytuję. A wy co porabiacie, drogie choć nieznanne przyjaciółeczki? Szkoda wielka, że jestem już z konkursów wyłączona, tak lubiłam do nich należeć, choć nigdy nagrody nie dostałam, oprócz wakacyjnych, bo tych mam aż dwie. Całuję was obydwie, moje drogie, po tysiąc razy, Szarża kazała was uściskać. Cyganeczka z nad Wisły.